№ 3. Warszawa, dnia 8 (20) Stycznia 1898 r. Rok XXXIV.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

OD WYDAWCY.

Początek drukującej się obecnie w *dodatku* do „Bluszczu“ powieści

pod tytułem:

Masarenowie

nowi prenumeratorowie otrzymać mogą na żądanie bezpłatnie.

TOWARZYSTWO OPIEKI

nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi

w Warszawie.

Tylko świat wyszedł z ręki Pana Boga zupełnie doskonały, w całości swej i szczegółach nie potrzebujący naprawek i polepszeń, pędzący swą wirową drogą przemian, jako pierwotne i niezmienne arcydzieło.

Wychodząc z rąk ludzkich najlepsze nawet instytucye, dobroczynne, naukowe, czy społeczne mają zazwyczaj główną oś swej idei zasadniczej wyborną ale nieraz tracą na prawidłowym swym rozpędzie z różnych bardzo przyczyn. Instytucya każda, jako mały, zamknięty w sobie światek ma oprócz swej osi doskonałego przeznaczenia i właściwy sobie sposób obrotu, swe ciepło wewnętrzne, swą zewnętrzną atmosferę, a że miewa i swe kataklizmy, zatem i ów obrót czasem zwalnia, ciepło stygnie, a atmosfera otaczająca ów światek obojętnieje. Usunięcie tych przypadłości jest ciągłem staraniem wszelkich stowarzyszeń i instytucyi, tylko właśnie trzeba natrafiać dobrze, gdzie jest jądro przyczyny, czy w samej rzeczy, czy w warunkach ją otaczających. U nas wogóle powstają instytucye bardzo szybko; ofiarność jest wielka, a zapalność do nowości jeszcze większa może; chcielibyśmy mieć wszystko, co posiadają bogaci i doświadczeni ludzie na zachodzie, bierzemy na odpowiedzialność naszych dobrych chęci i naszych kieszeni mnóstwo zobowiązań, a potem nasze dobre chęci, właśnie ta atmosfera którą instytucye oddychają, stygną, a kieszenie, te motory ruchu, i obrotu rzeczy nie dopisują, bo w końcu nie mogą. Nowy, piękny, bardzo dobry cel, ujmuje, zachwyca nas, stawiamy rzecz na nogi, a potem rozmijamy się z prawidłami istnienia, opuszczamy tę dobrą rzecz, jakby ona na tych własnych nogach sama stać mogła i biegniemy zakładać rzecz nową także bardzo dobrą, bardzo piękną i pożyteczną.

To kolejne powstawanie nowych dobrych rzeczy byłoby nader chwalebne, gdyby się odbywało w tempie dojrzalej obmyślanem, nie tak na gwałt, hurtownie; niechże jedno stoi mocno naprawdę i ma byt zapewniony, potem bierzmy się do drugiego; wtedy mielibyśmy może instytucyi mniej, ale naprawdę dostatnio uposażonych, trzymających się siłą własnych już kapitałów i nie żebrzących ciągle zmiłowania publiczności; posiadamy ich jednak stosunkowo bardzo wiele, a wszystkie chwiejne, jakieś rozżalone na swych członków, którzy są jak lotne monady, to tu to tam, pociągane czarem nowości, a instytucye wegetują i kuleją z całą gorzką świadomością swych doskonałych celowych osi, i z całem męczącem doświadczeniem swego życia wypraszonego rok rocznie u hojnego społeczeństwa.

Wyznać trzeba że naprawić to złe jest ogromnie trudno, bo nie tkwi ono nawet ostatecznie ani w braku funduszów, ani w braku dobrych chęci, tylko w odwiecznej, bardzo ludzkiej, i bardzo naszej, przyczynie—w braku wytrwałości. Owa słaba wytrwałość kuszona do tego jest ciągle wszystkiem co „nowości potrząsa kwiatem,“ rozrywana dziesiątkiem świeżych projektów, setką wcielających się pomysłów i cóż dziwnego że w końcu jest jako „donna e mobile.“

Członkowie podtrzymujący istnienie różnych Stowarzyszeń są jako piasek w klepsydrze przesypujący się z jednej instytucyi w drugą i dlatego u nas są zawsze instytucye takie, które są „en vogue“ i takie które przywiędły w obojętności publicznej. Jest to bardzo i bardzo źle. Instytucye społeczeństwu potrzebne to nie divy operowe, któreby mogły wpadać lub wypadać z łaski publiczności; lecz społeczeństwo raz z przekonania stworzywszy rzecz dla siebie konieczną, niechże jej pilnuje i dla niej pracuje, bo cały wysiłek materyalny i moralny włożony w założenie rzeczy idzie marnie jeśli ona upada.

Towarzystwo Opieki nad biednemi matkami oraz ich dziećmi założone przed lat przeszło dziesiątkiem, liczyło wówczas, w owej szczęśliwej dla siebie chwili podniesienia ciepłoty publicznej. członków 455, w roku zaś 1897 liczy ich—359. Prawie o stu mniej! Dlaczego? Wszakże cel, ta główna oś Towarzystwa, tak pożyteczny cel, taki dobroczynny, nie zmienił

się, instytucya weszła już w pewną rutynę swego obrotu, łatwiej nią kierować niż dawniej gdy pierwsze stawiała kroki, zyskała już prawa swej zasługi, dawszy setkom biednych cierpiących kobiet przytułek i wsparcie, a setkom dzieci opiekę, doczekała się własnego domu, kilku poważnych legatów i posiada bardzo pracowity komitet gospodarczy, który istotnie nie szczędzi sił i trudu, aby wszystko szło dobrze.

A jednak członków ubyło. Może dlatego, że instytucyi u nas nowych przybyło? Mówię może, bo nie śmiem tej przyczyny stawiać jako pewnik, byłby on bowiem złą wróżbą dla tych właśnie obecnych „enfants gatés“ publiczności, które doszedłszy do lat dojrzalszych pozostawione znów będą na mieliznach zapomnienia. Lepiej tu winę złożyć na coś, co jest przecie do poprawienia, więc na ową niewytrwałość, na tę że tak powiem niebaczność z jaką się bierze obowiązek popierania jakiejś sprawy. a wcale się sobie tego za obowiązek potem nie ma. A właśnie Towarzystwo Opieki nad b. matkami i ich dziećmi bardzo zasługuje na wytrwałość swych członków, na usilność starań, aby się pomyślnie rozwijać mogło i rozszerzać zakres swej pomocy niesionej matce i jej dziecku nim ono jest na świecie i gdy już jest. Zdaje mi się, że w głębi ostatecznej celu Towarzystwa chodzi nawet więcej o dzieci, któremi się opiekuje komitet gospodarczy do lat siedmiu, niż o matki, które łatwiej biedę przebędą, niż niemowlę rzucone na łaskę pierwszej lepszej chłopki bez żadnej kontroli, gdy jego matka musi iść na dalszą zarobkową robotę i dziecka przy sobie mieć nie jest w stanie.

Dla odświeżenia w pamięci czytelników głównych zarysów Towarzystwa przypomnę kilka ustępów z ustawy drukowanej w r. 1896.

Więc celem Towarzystwa jest niesienie pomocy pieniężnej i lekarskiej biednym kobietom mającym zostać matkami, przyjmowanie ich do specyalnego przytułku na parę lub kilka tygodni, zaopiekowanie się dzieckiem, które Towarzystwo oddaje pewnym i uczciwym wieśniaczkom na wykarmienie, czuwa nad niemi przez miejscowego proboszcza i kontroluje dziecka zdrowie i rozwój, matki zaś, która swe dzieci same karmią dostają zapomogi wedle zbadanej ich potrzeby i możności osobistego zarobku.

Towarzystwo składa się: 1) z członków Założycieli, który wnieśli jednorazowo rs. 500 lub też wnoszą przez lat 10 po rs. 25; 2) Członków rzeczywistych wnoszących przez lat 3 po rs. 25, i członków ofiarodawców, którzy płacą rocznie po rs. 5. Fundusze powstają: 1) z procentów od kapitału rs. 12,000 i doliczanych wkładów Założycieli, 2) z rocznych składek członków ofiarodawców, 3) z zapisów testamentowych i darowizn, 4) z dobrowolnych ofiar i z zysku z urządzanych koncertów, odczytów i t. p. widowisk.

Towarzystwo zostaje pod zwierzchnictwem Warszawskiej Rady Miejskiej Dobroczynności publicznej, a zarząd jego składa się:—z Rady Opiekuńczej, działającej pod kontrolą ogólnego zebrania i mającej starania o funduszach, i z komitetu gospodarczego, który zajmuje się wewnętrznemi urządzeniami instytucyi. Ogólne Zebranie zwoływane od czasu do czasu roztrzyga większością głosów o ważniejszych sprawach Towarzystwa. Przyjrzyjmy się teraz cyfrom jakie nam daje sprawozdanie wypracowane za rok 1896. W ciągu tego roku, po latach mniej pomyślnych, przybyło znowu członków 39. (Obecnie jest członków 359).

W tymże roku przybyły trzy sumy po 500 rs., od rodziny Natansonów, od Tow. Ubezpieczeń, legat Goldfedera i z legatu hr. Ledochowskiego 359 r.

Ogólna cyfra dochodu wyniosła 12,258 rs. 27½ k. Ze składek członków otrzymano sumę 2,674 r. Dochód z wenty i zabaw stanowiący jedno z najpoważniejszych źródeł dochodu spadł tym roku do kwoty 5,543 r. 47½ k. to jest zmniejszył się o przeszło 1,000 rubli w porównaniu z latami poprzedniemi. „Pocieszającym objawem — mówi sprawozdanie—jest wzrastający „z każdym rokiem udział matek w opłacie za ich dzieci“ na co bezustanku Towarzystwo wpływa podnosząc tym sposobem poziom moralnego poczucia obowiązku u biednych kobiet korzystających z opieki. Ogólna cyfra tych składek wyniosła 1,114 r. 93 k. Wydatki roku sprawozdawczego wyniosły 14,098 r. 7½ k., a że dochód nie pokrył tej sumy zaczerpnąć musiano z kapitału lokowanego w banku dyskontowym. Na ogólną administracyę wydano w r. 1896: 8,252 r. 16 k. na opiekę zewnętrzną (utrzymanie dzieci na wsi i zapomogi matkom karmiącym)—5,845 r. 91½ k. Wydatek na żywność ogólny wyniósł; 2,365 r. 45½ k., a średni koszt dzienny utrzymania jednej osoby wynosi: 25 kop.

Cyfra ta się podniosła z powodu zmniejszenia się ofiar w produktach. Majątek Towarzystwa wynosił w końcu roku 1896: 34,723 r. 63½ k., a w to wchodzi wartość dwóch domów: jednego przy ul. Hożej 70; drugiego przy ul. Wspólnej oraz różnych mniejszych i większych sum umieszczonych na kilku pozycyach. Towarzystwo ma 19,500 rs. długu, który naturalnie obciąża kapitał i zmniejsza dochody. To wszystko są cyfry administracyjne, bardzo ważne i ciekawe, bo na nich obraca się maszynerya całej instytucyi, przyjrzyjmy się teraz cyfrom żywym, ściśle złączonym z ową fundamentalną, przeznaczeniową osią Towarzystwa. W ciągu roku 1896 korzystało z przytułku Towarzystwa 319 kobiet mających zostać matkami, a cyfra ta jest największą od czasu istnienia instytucyi. W zakładzie umarła matka 1, dzieci 5, a 3 urodziło się nieżywemi. Na wieś oddano na wychowanie dzieci 66, średnia liczba dzieci korzystających z opieki na wsi wyniosła 166.—27 matek karmiących dostało zapomogi po 3 rs. miesięcznie. Na wsi umarło dzieci 20, zwrócono matkom 27, a na rok 1897 pozostało na wsi dzieci 166. Ważnym jest dodatek, że za staraniem i z pomocą Towarzystwa zostało skojarzonych w ciągu roku 34 małżeństw.

Wszystkie te cyfry są bardzo wymowne. Widzimy z nich, że parę set kobiet biednych i parę set dzieci zostało uratowanych dla społeczeństwa przez opiekę i starania, bez których na ważnym i niebezpiecznym przełomie narodzin i śmierci, śmierć może by tryumfowała, a może gorzej niż śmierć, bo połączyłyby się z nią i jej sojusznicy—nędza, głód, opuszczenie, rozpacz, zboczenia i występki. Ileż to dzieci ginie z nędzy niemowlęcej, z egoistycznego matek niedbalstwa, dobrze choć kilkaset uratować w jednym roku i dziwnie bezmyślny jest zarzut czyniony niekiedy Towarzystwu, że nie warto dla paru set dzieciaków tyle zachodu i krętaniny. Nie warto? a cóż jest drogocenniejszego na tym świecie jak życie? Zresztą niechaj pesymiści zwiedzą zakład na Hożej N. 70 a widok tego co tam zobaczą, rozbroi ich i z uprzedzeń i z argumentów.

Przytułek dla biednych matek i ich dzieci zajmuje dom cały mieszczący: — w suterenach kuchnie, pralnie, piwnice, śpiżarnie, magle i inne gospodarskie i zakładowe pomieszczenia, na parterze jest sala posiedzeń, gabinet doktora z szafami zaopatrzonemi w przyrządy, salę jadalną, sypialnie dla kobiet rekonwalescentek, łazienkę, suszalnię szatnię na bieliznę, osobny pokój dla chorych niebezpieczniej, schowanka, korytarze i inne dogodności; na piętrze są sypialnie dla chorych kobiet, sala operacyjna, łazienka, łóżko do przewożenia, waga i wszystko przy pielęgnowaniu chorych niezbędne, a nadewszystko na każdym kroku śnieżny porządek, czystość i antiseptyka zastosowana wedle najnowszych wymagań nauki lekarskiej. Kobiety już zdrowe i dość silne pomagają służbie w obsłudze zakładu, praniu i t. d. oraz same kąpią i pielęgnują swoje dzieci.

Widziałam tego drobiazgu, gdy zakład zwiedzałam z dwanaścioro; jedno miało tydzień, tamto trzy dni, tamto z śliczną ciemną główką było wczorajsze, a tamto było dzisiejsze całe różowe jak owoc świeżo zerwany. A tamto ma matkę głuchą, ale ona mówi że „czuje“ jak chłopiec zapłacze i zrywa się żeby go nakarmić, a owo biedactwo ma wargę przerwaną i trzeba ogromnej cierpliwości matki, aby mogło się najeść dostatnio, a tamto całe w wacie otulone jak pisklę po strasznej burzy gwałtownych narodzin, a tamtych dwoje bliźniąt związanych do siebie podobieństwem jak Lelum-Polelum i rysów i oczów i losów pewnie, na biedę niestety. A na tych biednych kobietach znać, że ta wyjątkowa czystość jaka je otacza i odziewa, wydobyła na ich twarze jakiś odrębny, a miły wyraz spokoju i piękna prawie, który się zatraca w niedostatku i niedbalstwie, a występuje jak lekkie światło na obliczu nędzarzy, jakby odblask z lepszego świata. To też wszystkie prawie są zadowolone, ale z pewnemi różnicami. Jedne są zadowolone i wesołe, a do tego pewne siebie, to są matki, po które tam przyjdą ich mężowie z radością zabrać je wraz z dzieckiem. Są inne, po które nie przyjdzie nikt i nikt się o dzieci nie zapyta. Te biedne muszą dziecku starczyć za oboje rodziców.

Czyniono nawet zarzut zakładowi, że ta gościnność dobroczynna za wielka... Ale, pomyślawszy głębiej, zmierzywszy różne otchłanie społeczne, różne życia zasadzki i błędy i pomyłki, różne krzywizny dróg ludzkich, spotykamy na tych rozstajnych drogach, prosty a wielki i miłosierny krzyż, ponad wszystkiem co człowiecze i błędne, spotykamy na kartach socyologii przestrogę, że „wszystko zrozumieć to wszystko przebaczyć,“ a przynajmniej „wiele,“ spotykamy nawet na kartach myślicielskiej poezyi Goethego ponad kobiety głową sądzoną, okrzyk u góry—uratowana! Więc niechże i na Hożej pod N. 70, wolno tym biednym, może właśnie najbiedniejszym przyjść i oddać się w dobroczynne ręce, które tam czuwają i nad chrztem dziecka i nad krzyżmem wpływowych upomnień dla matki, którą jeśli tylko można, wiodą do kaplicy zakładowej do przysięgi na uczciwość małżeńską. Więc po co mnożyć trudności w wynajdowaniu zarzutów tam, gdzie wszystko dobrą chęcią istnieje?

Co tydzień są w kaplicy chrzty, i mniej więcej co tydzień zjawiają się może wieśniaczki po dzieci na wieś przeznaczone. Zakład płaci za pierwszy miesiąc całą opłatę od dziecka, potem część opłaty, a matki dopłacają, ile która może. Ta opłata od matek jest słusznie wymagana jako łącznik z dzieckiem i ciągle przytomny jej pamięci obowiązek. W śpiżarni porządek, ale zapasów nie wiele. Brak zasadniczych produktów, kartofli, mąki, kaszy, bulionu, jarzyn, owoców suszonych, cukru, kawy, herbaty. Panie nasze, które na wsiach mieszkają do żadnych najczęściej stowarzyszeń nie należąc, mogłyby wziąć do serca trochę tę śpiżarnię bardzo dużą, a dosyć pustą, i bez własnego uszczerbku, na intencyę szczęśliwego chowania się dzieci własnych, dosyłać tym biednym matkom na Hożą N. 70 po parę korcy kartofli, zboża, jarzyn i co by im tam serce podyktowało. Czy by mogły? Czy by chciały? Te dwa pytania nie plączą się przecież za trudno, nie do urzeczywistnienia.

Obecny komitet gospodarczy tak serdecznie, tak zapobiegliwie pracujący w zakładzie miałby trochę ulgi w tym roku, w którym oto wszystko podrożało, a raz dobry zwyczaj, gdyby się zakorzenił, toby wpłynął bardzo dodatnio na cyfrę rozchodu codziennego dla utrzymania kilkudziesięciu osób. Nic by też nie zawadziło, żeby nasze obywatelki zechciały zajrzeć kiedy do tych włościanek, które wzięły na wychowanie dzieci z zakładu, czy zresztą zkądkolwiek i sprawdziły czy tam jaka krzywda n e dzieje się tym czasowym sierotkom zdala od matek. Na zakończenie, musimy znów u wrót tego domu, gdzie mieszkają cierpienia, troska i miłosierdzie, postawić na warcie duży znak zapytania, bardzo duży i bardzo marsowaty: dlaczego członkowie Towarzystwa są tak niestali, niesłowni, tak prędko się nudzą należeniem do czegoś dobrego i skorsi do zarzutów niż do regularnej systema-

tycznej składki rocznej? Jeżeli się pilnujemy, z werwą godną lepszej sprawy, różnych „jour fix'ów“ i „fajfokloków,“ toć przecie można się zdobyć raz na rok, w Styczniu, nie później, na 5 rubli, do których się ktoś zobowiązał. Słowność należy do dojrzałości umysłowej, wytrwałość do dojrzałości moralnej, stawianie się na swem miejscu do dojrzałości społecznej; bądźmy więc dojrzali, aby się rzeczy dobre utrzymały, rozwijały i dopinały tych celów pięknych, doniosłych, koniecznych które nas zawsze czarują swym wyżynowym blaskiem, ale powinny i w codziennej dla nich i jednostajnej zasłudze i pracy utrzymać.

Szczęsna.

POGAWĘDKA.

Minął rok stary—młodzieniaszek spadkobierstwo po nim otrzymał.

Zanadto wybredni bylibyśmy, ażebyśmy zbyt wiele odrazu chcieli od nowicyusza.

Bądźmy cierpliwi—młokosem jest jeszcze ale kto wie, czy w zanadrzu dobrych zamiarów nie ma. Bądź co bądź, już się pochwalił paru wynalazkami. Wszelkie zaś wynalazki mają doniosłe znaczenie dla społeczeństwa.

Wynalazki—a jakie?

Chrząkam— —

Ej—coś nie chcesz mówić?

A no tak! Półgębkiem jednak wspomnę, że najpierw mam na myśli wynalazek doktora Schenka z Wiednia. Czego się on dotyczy, szanowni czytelnicy z pism codziennych wiedzieć o tem muszą. Pomijam więc go milczeniem i idę dalej.

Olbrzymi przewrót w stosunkach międzynarodowych zrobiłby wynalazek kierowania balonami. Zagadnienie posuwało się wciąż naprzód, rozwiązanem jednak nie zostało. Lot Ikara był dotąd lotem szaleńca. Opasaliśmy ziemię całą żelaznemi szynami, ujarzmiliśmy Ocean, ale powietrze lotne wciąż z pod naszej umyka władzy. Lokomotywa pędzi tam, gdzie iść jej rozkażemy, potęga pary zmusza wzburzone bałwany morza, do poddania się jej władzy, jedno tylko powietrze dotychczas nie przyjęło ludzkiego jarzma—ono, w regjonach swoich ma moc, powodować się nie daje, unosi nas, lecz rządzić się nie pozwala. Nie ono, lecz my go słuchamy. Od stu lat już przeszło trwa z niem walka. Wynalazczy umysł ludzki zdobywa się na wszelkie sposoby, śmiałków nie brak, ofiary się mnożą, lecz pożytecznych rezultatów dotąd niewidzieliśmy. Duch ludzki nie zraża się jednak przeszkodami: „Prześwidrowałem skały, powiada,— morza ugłaskałem, piorunowej iskrze po marnym kazałem biedz drucie, za pomocą rentgenowskich promieni, badam ukryte przedemną przedmioty i tak dalej, dalej i dalej — jeno tylko, ty—powietrze, z pod rąk mych umykasz, ale czas przyjdzie i będziesz zmuszone przed moją ugiąć się potęgą.“

Tak mówi duch ludzki, w moc swą wierząc, która od Boga pochodzi.

I oto wieści do nas dochodzą, wieści, które obiegły już całą Europę, że zbudowany został przyrząd do kierowania balonem i złożony w Berlinie do ocenienia przez specyalną komisyę. Dawniej mówiono, że—„Niemiec wymyśli, Francuz zrobi a Polak głupi wszystko kupi.“ Dziś się to nieco odmienia, i, jakkolwiek Polak jeszcze wszystko, co Niemiec wymyśli a Francuz zrobi kupi, staje się już coraz mniej głupszym i sam do różnych wynalazków dłoń przykłada, które może kupią Francuz i Niemiec.

Oto dowiadujemy się, że—jeden z tutejszych mechaników—(pismo podające tę wiadomość nie nie zostało upoważnione do wymienienia nazwiska wynalazcy) wynalazł telefon dla głuchych. Z wynalazkiem tym odbywają się próby, po udoskonaleniu zaś aparatu, zostanie on przedstawiony do oceny ludziom kompetentnym.

Któż się nie zgodzi z tem, że wynalazek podobny jest stokroć donioślejszy, niż wszelkie armatki dalekonośne, karabiny szybkostrzelne i prochy bezdymne. Gdy te dążą do wyniszczenia ludności, tamte zmniejszenie cierpień mają na celu, a cierpień jest dużo, a leków tak mało, a jest wielkie zapomnienie o najpierwszem przykazaniu bożem, przykazaniu—miłości.

Tak więc rok nowy rozpoczął się nieźle. Jak się skończy, to zobaczymy dopiero. Zaprowadzenie monopolu ma także wpłynąć na umartwienie ludzi, pozamykane szynki smutny mają wygląd, mimo to jednak codzienni ich goście zbyt smutną nie patrzą twarzą.

Czy monopol wpłynie na ukrócenie pijaństwa?

Piszą—że tak!

A jak mówią?

Różnie— —

Ja, naprzykład, od pewnego zwolennika alkoholu, taką otrzymałem odpowiedź:

— Na kieliszki pić nie wolno, ale wolno na butelki. Wódka jest znacznie tańsza, więc wypić jej więcej można. Przed monopolem, zachodziłeś pan do drugo czy trzeciorzędnej restauracyi i kazałeś dać jeden i drugi kieliszek gorzały. Kieliszek po kopiejek dziesięć. Wypiłeś—wiele? cztery... No—i dwadzieścia kopiejek wypadło ci z kieszeni, a jeżeli jesteś z przyjacielem to i czterdziestówkę dyabli wzięli. Tymczasem teraz, mój panie—zapłacisz mniej znacznie a więcej wypijesz. Zachodzę sobie naprzykład „Pod gruszkę“ i każę dać maleńką buteleczkę, (bo na kieliszki tam nie sprzedają). Wódka razem z flaszką kosztuje kop. 13, zawartość zaś flachy wynosi kieliszków trzy. Dawniej za tę proporcyę płaciłem 15 kopiejek, a teraz o trzy kopiejki mniej, czyli...

— Masz pan trzy kopiejki oszczędności.

— Nie—przerwał interpelowany,—jeżeli pijemy we czwórkę, to z tych trójek zbiera się grosz na piątą flaszkę, czego dawniej zrobić nie można było—uważasz pan?

Uważałem, że spirytualista z monopolu rad był niezmiernie. Jak dowiedziałem się, chodzi zawsze we czwórkę, ażeby piąta flaszka wypadła mu—gratis.

O, przewrotności ludzka! ty zaraz potrafisz wodę na koła swojego młynka naciągnąć.

Kompetentni powiadają jednak, że sposobność do wypicia wódki zmniejszyła się o dwie trzecie. Daj Panie Boże, ażeby tak było, a wtedy może i kronika smutnych miejskich wypadków o dwie trzecie zmniejszyłaby się.

Jeżeli więc wynaleziony został sposób przeciwko pijaństwu, wartoby pomyśleć nad drugim jeszcze sposobem tyczącym się trwałości kamienic warszawskich. Nie przebrzmiało jeszcze echo smutnego wypadku runięcia kamienicy przy ulicy Stalowej na Pradze, jak oto, na zbiegu ulic Kaliksta i Nowowiejskiej zawalił się gmach czteropiętrowy i na śmierć przytłukł... jednego *tylko* człowieka.

Miło jest mieszkać w nowej, czystej, jak pieścidełko wyglądającej kamienicy. Dla tej czystości, dużo amatorów porządku, wynajmuje mieszkania w domach na pół wykończonych. nie wahając się nawet osuszyć ich piersiami własnemi.

— Czy się nie lękacie kataru, zaziębienia, suchot?

Na to odpowiadają:

— Nie mamy przynajmniej robactwa.

Teraz jednak robactwo staje się mniej straszne.

— Szukasz mieszkania?

— Tak!

— Patrz, jak ładnie wygląda ta kamienica. Mieszkania są do wyboru, gospodarz zaręcza, że na czas ci wygotuje lokal.

— Dziękuję!

— No—co?

— Niema głupich—jeszcze mi się na głowę zwali.

Obawa wzrosła—uważałem nawet, że już ludzie nie tylko unikają lokalów w nowych domach, ale idąc koło nowobudującej się kamienicy, zezem na nią patrzą i przechodzą na drugą stronę ulicy.

Do nowości, najbardziej interesującej nowości, bezwątpienia zaliczyć potrzeba „Goplanę“ Żeleńskiego. Że jest to dzieło niepośledniej wartości, sądzić możemy, nie z krytyk pisanych, lecz z zasłyszanych głosów. Zdania tych głosów dzielą się—ganią i chwalą, to dobrze! Na rzeczy miernej poznaje się każdy, pod tym względem sprzeczności w zdaniach nie będzie; rzecz dość dobra podoba się wszystkim; rzecz doskonała ma przyjaciół i nieprzyjaciół. Tak bywało i tak jest—w dziedzinie sztuk różnych, w poezyi, malarstwie czy muzyce. Przez ostrze języków, pretensyonalnej zawsze a zawsze prawie błądzącej krytyki, przechodził mistrz taki, jakim był Mickiewicz. „Hołd Pruski“ Jana Matejki, nazwany był przez dowcipnisia „jajecznicą narodową“ coś podobnego słyszymy i o autorze „Goplany.“

Nie niepokoi to nas wcale... Nim sami, według różnicy własnego znawstwa i uczucia sąd wydamy — zbieramy te wszystkie głosy i dobre o dziele Żeleńskiego mamy pojęcie. Zaznaczamy raz jeszcze: dzieła doskonałe tylko mają przyjaciół i nieprzyjaciół. Sądy krytyków mnie nie rozczulają—zdrowy zmysł ogółu cenię wyżej. Zresztą panowie Zoile dość często... uciekali na Pragę.

Ale, ale—mówiąc to o tem, to o owem, nic a nic nie wspomniałem o karnawale. Wprawdzie, że ten pan, osobiście nie bardzo mnie obchodzi, ale przez nogę potraktować go nie można, bo ma swoich zwolenników, ach! i jakich jeszcze zwolenników, ma moc potężną oszołomiania ludzi, słówka czarów pełne, rozum nawet mu się poddaje, a już nic nie mówię o sercu, które na myśl samą o nim bije tętnem przyśpieszonem, o nerwach nie mówię, na których karnawał gra, jak najlepszy wirtuoz na strunach skrzypiec.

Wystąpić przeciwko temu panu—nie sposób!

Po co zresztą?

Wszystko, co jest—ma swoją słuszność bytu, a że powiada prawda stara, iż potrzeba wytwarza tylko wynalazki, szał karnawałowy potrzebny był widocznie dla ludzi, olbrzymią przeszłość ma za sobą, z krwią przez pokolenia w pokolenie przepływa i na wszelkie moralizatorskie występy, odpowiada może:

— Byłem, jestem i—będę!

Będę?

A czy wolno o przyszłości przesądzać?...

Zdaje nam się, że tak— —

Ktoś mi powiedział:

„Złe mam wyobrażenie o umysłowości ludzkiej. Przecie kiedyś zpotężnieją i zpoważnieją rozumy, maszkary po sali balowej błądzące nie będą niczem innem, jak tylko zabawką dziecinną, skoki w takt muzyki dziwactwem ludzi przyszłości a myśląc o pradziadkach swoich z przeszłości, mieć będą wyraz politowania w oczach.“

Czy *ktoś* ma słuszność?

Może—lecz wtedy wynalazek dr. Schenka tak udoskonalony zostanie, że ludzie starymi rodzić się będą.

Ktoś potrząsa głową, potrząsa przecząco.

— A cóż z młodością *ktosiu* zrobisz? pytam.

Hej! i dziś mamy młodość starą, powagę niewłaściwą wiekowi, twarze pobladłe, zapadłe oczy, ni do tańca ni do różańca młodzieńców, ludzi ni z pierza ni z mięsa, o mądrych głowach, lecz bez zachwytów i pragnień orlich, Katonów w słowach, w uczynkach rozpustników, siły swoje nie na zamiary mierzących, lecz stosujących zamiary do sił. Lecz cóż gdy siły marne, zamiary marne, gdy pragnienia czynów wielkich nie rozsadzają piersi.

Wedle sił, wedle sił—piosnka dziś dzwoni. Niby jest logika w tych słowach, my jednak widzimy lenistwo duchowe, uniknięcie pracy nad wytworzeniem tych sił właśnie. Zamiary wytwarzają siłę, one tylko prą naprzód i naprzód.

Czas przyjdzie i ja, jako inni, z okiem przy-

gasłem, z czołem zoranem zmarszczkami, przy ciepłym kominku usiądę, lecz nigdy nie powiem sercu młodemu: zestarzej! myśli młodej: spoważnij! ogniowi: przygaśnij!... Sam wnukowi do ręki podałbym puhar po brzegi winem nalany i kazał stanąć w kole tanecznem. Niech skry się sypną z pod nóg tańczących mazura, niech z ust do ust wesoły uśmiech przelata a Kupido złotych swych strzał nie żałuje... w pląs! w tan!...

Hej! nudno na świecie byłoby, gdyby zamieszkiwali go mędrcy sami. Rozum wtedyby ogłupiał, a niejeden z poważnych badaczów przeszłości, z karty księgi starej wyczytawszy opis zapust weneckich, opis przesławnych kalwakad medyceuszowskich, zagłębiwszy się w te czasy prastare, utonąwszy w tym wirze karnawałowym—szepnąłby z westchnieniem:

— A jednak—tam była taka pełnia życia, takie gorąco krwi, że pali z oddalenia lat tysiąca, oczy olśniewa barw bogactwem, mój rozum zimny przygniata, przytłacza do ziemi. Ha! ci ludzie młodość znali!

I kto wie, czy w ów czas mędrcy własną mądrością znudzeni, nieubrali by się w purpurę szat, z dzwonkami czapki błazeńskie na głowy nie włożyli i nie zaczęli podskakiwać do siebie. Śmiechby ich porwał, śmiech, któryby był ostatnim śmiechem świata. „Zginście!“ odezwałby się w chmurach głos mądrości przedwiecznej—nie macie już nic do robienia na ziemi!

Więc bawią się ludzie, bo nie zastarzał świat jeszcze, bo młodość nie straciła praw swoich.

Powiedział był niegdyś Krasiński:

„Kiedy was zawiodą do miast bez świątyń i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygoda, prócz zielonych okiennic, skąpiła ozdoby, powiedzcie—umarli!“

Można byłoby dodać:

„I jeśli do sal zajdziecie gdzie grono młodzieży i dziewic przechodzi mimo lub się potrąca o siebie, a z ust do ust nie przelatują kwiaty uśmiechów, a o tyle biją tylko serc tętna, by krew mogły przesączyć, powiedzcie—umarli!“

Ale świat nie chce śmierci i dla tego dzwoni śpiew jeszcze, a dźwięki muzyki kołyszą się na powietrza falach.

Karnawał już się rozpoczął, jakim będzie—nie wiem. Dowiedziałem się zaledwie o paru balach, parokrotnie sam zabawiłem się w przypomnienie czasów dawnych. Lada chwila otworzą się sale ratuszowe, pomiędzy kolumnami przesuną się maszkary, chałaciarz grand hiszpański i pomywaczka wdzięczna. Tu i tam się odezwie:

— Znam cię!

A jaka odpowiedź będzie?

Niejednokrotnie zauważyłem już, że bale maskowe, u nas przynajmniej, osłabły czy przeżyły się; że dowcipy zwietrzały, intrygi nie są intrygujące, humor gdzieś w kąt się ukrył i rozbudzić nie daje.

A szkoda!

Mniejsza jednak o bale maskowe, o owe publiczne bale, które jakoś nie znajdują gruntu u nas. Kwiat to zresztą obcy, za królowej Bony przywieziony z Włoch do nas, trwał dość długo, lecz nieodpowiadający usposobieniu naszemu, więdnie i zwiędnie zupełnie. Mieliśmy jednak swoją własną zabawę, odpowiadającą naszemu temperamentowi, którą wartoby wznowić i całą duszą jej się oddać. Domysł tu zdaje się jest zbyteczny, któż by nie odgadł—kuligu? Jest w nim wszystko—i śmiech i żart i dowcip i śpiew i muzyka i stroje dowolne a barwne a piękne—i pląsy, hej! jakie pląsy!... Zapomnieliśmy o polonezie także, z pięknego i bogatego w figury i zwroty tańca, promenadę jakąś robimy. Odżyj kuligu! odżyj polonezie—tego życzę wam w dniach pierwszych rozpoczynającego się karnawału!

? ?

Ze wspomnień wędrowca.

Pójdę! Tu radość! tu szczęście! tu błogo!
Tu pieści duszę słodki szept rozkoszy —
I myśli moje swojem tchnieniem płoszy —
I bóle moje tu płakać nie mogą,
Pójdę, nim nogi w to kwiecie mi wrosną,
Zanim się sercem z wieczną zbratam wiosną!

Cóż mi z tych kwiatów? Obce mi ich wonie!
Cóż mi z błękitu, co czarem wzrok poi?
Jam go nie widział w dniach młodości mojej!
Jam w takich świateł nie chodził koronie!
Wietrzyk obcemi mówi do mnie słowy,
Jest mi pieszczotą kochanki chwilowej.

Pójdę, jak smutny przechodzień zdaleka,
Co wszedł w nieznane biesiadników grono
I ujrzał twarze, które szczęściem płoną,
I śmiech usłyszał—od śmiechu ucieka...
Nad obcą rozkosz, która pieści czule,
Przekłada własne tęsknoty i bóle...

Antoni Pilecki.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-ch częściach

przez

Maryę Łopuszańską.

(Dalszy ciąg).

Pan Ignacy opowiedział ojcu o spotkaniu się z bratem stryjecznym i o rozmowie jaką z nim miał. Obaj powstali na niego niezmiernie; tylko Magdzia go broniła z zapałem, zwłaszcza gdy była sam na sam z bratem.

— Z ciebie byłby dobry patron w trybunale,—rzekł do niej Ignacy; — na wszystko znajdzies zawsze gotową replikę.

— Bo nie mogę znieść napaści na nieobecnych. Kto wie, jakie przyczyny skłaniają go do pozostania przy boku pana Jazłowieckiego; może nie jest w jego mocy odstąpić raz obranej partyi.

— Oczywiście, cała partya wiele na tem straci, gdy pan Jan Ługowski jej odstąpi, a Zborowscy, Jazłowiecki i Górka mocno się troszczą o jego w niej zatrzymanie, — rzekł Ignacy ironicznie.

— Nieznośny jesteś z tą twoją drwiącą i obojętną miną! — zawołała Magdzia zniecierpliwiona.—Co ci się stało, żeś jest tak zaciekłym instygatorem?

— A waćpanna tak zagorzałą obronicielką.

— Tak, będę zawsze jego obronicielką i choćbyście nie wiem co mówili o nim, nieuwierzę temu!—zawołała Magdzia z mocą.—Czy dlatego, że Zborowscy wichrzyciele, jak ich tam nazywacie, to cała ich partya ma być potępiona? Czyż niewolno już nikomu mieć inne niż wasze przekonania?

— Fiu, fiu! co ja widzę,—zawołał Ignacy żartobliwie,—waćpanna do polityki brać się zaczyna? Okrutnieśmy zmądrzeli od niejakiego czasu.

— Nie mieszam się do polityki, — odrzekła Magdzia, zapłoniwszy się, — ale nie chcę by w rodzinie powstawała niezgoda z powodu jakichś tam partyi, których nienawidzę i znać niechcę! Nie dość tego, że tam, na sejmikach spieracie się i rąbiecie z sobą, jeszcze i do domu będziecie przynosić te zatargi!

To mówiąc, tupnęła nóżką, — a pan Ignacy śmiał się, patrząc na jej gniew, ale pomimo to, pocałował ją w rączkę, jakby z mimowolnem uznaniem.

— Jak mi Bóg miły, z ciebie dziewka nielada!—mówił z uśmiechem.—Pamiętam ja, kiedyś była jeszcze, ot, taką malutką, nieraz, gdyśmy się obaj z sobą pokłócili lub poczubili,—zwyczajnie jak chłopcy,—wpadałaś pomiędzy nas, wołając: „Chłopcy, pogódźcie się—ja nie chcę, żebyście się kłócili!“ I dopóty krzyczałaś i płakałaś, aż dokąd dla dogodzenia tobie, nie nastąpiła między nami zgoda. Prawdę ludzie mówią, że zawsze babski upór zwycięży.

Po paru dniach pobytu w domu, pan Ignacy odjechał. Chorąży, po jego wyjeździe stał się jeszcze pochmurniejszym, zwłaszcza, że wciąż dochodziły wieści o coraz to nowych gwałtach, popełnianych przez żołnierzy Zborowskich, Stadnickiego i Górki. Wówczas stary szlachcic zżymał się na wichrzycieli i znów chwytał za kord przy boku, czasem znów zaciskał pięść i zdawał się grozić komuś nieobecnemu, a wtedy nawet Magdzia nie śmiała do niego przystąpić, taką miał twarz groźną. Więc też dziewczę było bardzo smutne i często łamało sobie głowę w samotności, nad tem, co ma począć w tak trudnych okolicznościach, kiedy i z jednej i z drugiej strony zarówno musiałaby walczyć z naturą gwałtowną i uparcie stojącą przy raz powziętem postanowieniu. W takiej niepewności przyszła raz i usiadła przy pani Katarzynie, która zajętą była właśnie układaniem motków i dlatego niekrzyczała na dziewki, jak to było jej zwyczajem.

— A co to, to ty Magdziu? Usiądź no tu i powiedz co,—bo od jakiegoś czasu wiecznie tylko milczysz i wzdychasz.

— O bo mi też ciężko na sercu, pani Katarzyno.

— Co tobie? A słowo stało się ciałem! A któż to takiemu dziecku mógł wyrządzić krzywdę jaką?

— Nikt mi krzywdy nie wyrządził, pani Katarzyno, tylko mi ciężko, że tatuś taki zagniewany na Janka.

— Pan chorąży zagniewany na Janka? I za cóż to, proszę ja kogo? Przecie chłopak nic złego nie zrobił. Ale pan chorąży wiecznie tak, niech tylko palcem kto kiwnie, on zaraz się gniewa,—mówiła zacna niewiasta w oburzeniu.

— Tatuś za to gniewa się na Janka, że on trzyma ze Zborowskimi,—rzekła Magdzia poważnie.

— No, a cóż ci Zborowscy zrobili takiego? Czy może jaki kościół zrabowali?—pytała pani Katarzyna ciekawie.

— O, to bardzo źli ludzie i dlatego tatuś ich nie lubi i zaklął się, że każdego, kto z nimi trzyma, będzie uważał za infamisa.

— To po cóż Janek... pan Jan z nimi trzyma? Przecie ślubu z nimi nie wziął, to może ich odstąpić, kiedy się ukazali łotrami.

— Kiedy, bo widzi pani Katarzyna, Janek znów nie chce słuchać o tem, by ich odstąpić i... i ja sama już nie wiem co robić teraz i jak ich pogodzić? — dokończyła Magdzia napół z płaczem.

— No, no, nie frasuj się moja jagódko, może Bóg to jakoś przemieni. Prawda, że to z naszym panem chorążym trudna sprawa; gdy raz co postanowił to już nie ma rady. Jedna nieboszczka pani umiała go trochę umitygować a druga ty,—ale to tylko czasem.

— Teraz nawet niegada ze mną, taki jest gniewny,—odparła Magdzia wzdychając.

— Proszę ja kogo—i to wszystko tak na pana Jana, za tych Zborowskich... Oj, gdyby tak jeszcze żyła nieboszczka pani chorążyna!—ona by to jednem słówkiem naprawiła;—bo to była

mądra pani, jakich mało na świecie, a przytem dobra, miłosierna,—istna święta.

— O, wiem, że gdyby mama żyła, byłoby inaczej;—ja, choćbym nie wiem jak chciała, niepotrafię być taką jak ona. Janek na jedno jej skinienie wszystko by zrobił, podczas gdy mnie niewiadomo czy posłucha...

— Oj, co to, to prawda, — potwierdziła pani Katarzyna.—On panią chorążynę kochał więcej może niż syn rodzony, a po jej śmierci tak rozpaczał, żeśmy się o niego bali,—ale też i ona była dla niego matką prawdziwą i żadnej nierobiła różnicy między wami trojgiem. To też nieraz, gdy kto pierwszy raz przyjechał do dworu, brał wszystkich was za jedno rodzeństwo; chociaż Janek zawsze był jakiś odmienny i jakby trochę dziki. Mocny Boże, toć ja dobrze pamiętam ów dzień, gdy pan chorąży przywiózł go do Bobrowic,—ciebie jeszcze wówczas na świecie nie było. Chłopak zrazu wyglądał zupełnie jak młody wilczek, zdawało się, że lada chwilę zerwie się i ucieknie gdzieś do lasu. Bo też ojciec jego, pan starosta zakroczymski, po śmierci żony tak się niepomiernie oddał żalowi. że zupełnie, Panie odpuść, zapomniał o jedynem dziecku, które po niej pozostało, tak jak gdyby go wcale nie było na świecie,—i chłopak bujał tak samopas puszczony, aż dokąd go nie wziął pan chorąży. Pani chorążyna odrazu macierzyńskiem sercem przygarnęła sierotę, tak, że choć dla wszystkich był dziki i nieprzystępny, do niej uczuł zaufanie i dał się jej ugłaskać. Czego pan chorąży nie mógł zrobić surowością, to ona zrobiła jednem spojrzeniem lub słówkiem łagodnem. Surowość czyniła go tylko hardym i zaciętym, ale dobroć pani chorążyny dokazała tyle, że po pół roku zmienił się, już do niepoznania. A jak też ona się cieszyła gdy widziała was razem igrających,—jak pragnęła byście się kochali wszyscy;—tak zupełnie jakby przeczuwała swój zgon bliski! Nieraz też mawiała do mnie: „Byle się choć te dzieci kochały z sobą po mej śmierci.“ Ty byłaś jeszcze bardzo małą, gdy ona umierała, ale ja pamiętam jakby to wczoraj było;—o, Jezu miłosierny, co to za płacz był w całych Bobrowicach, ludzie wciąż stali na dziedzińcu i pod bramą, pytając: „Jak się ma pani?“ Aż gdy przyjęła ostatnie Sakramenta, kazała was wszystkich troje przyprowadzić do swego łoża i błogosławiła każde po kolei, nakazując chłopcom, by zawsze nad tobą mieli opiekę i żebyście się miłowali, tak jako ona was miłowała społem.

— Pamiętam ja dobrze oną chwilę, — odrzekła Magdzia, która słuchała ze łzami w oczach, pamiętam i nie zapomnę nigdy!

Podczas gdy pani Katarzyna zajęta była układaniem motków, które przerwała gwoli opowiadania, Magdzia siedziała, złożywszy na kolanach ręce i patrzyła przed siebie w zamyśleniu, a przed okiem jej wstawały różne obrazy z przeszłości. Widziała siebie malutką dziewczynką, w białym fartuszku, biegającą po sadzie razem z braćmi, jak powoli, z latami, wchodziła w rolę matki i stawała się pocieszycielką wszystkich smutków w domu, powiernicą obu chłopców, a zwłaszcza Janka. I wyszło tak, że nie on nią się opiekował lecz ona nim, usiłując go zawsze wytłomaczyć przed ojcem i wyprosić od kary, a że była ulubienicą chorążego od lat najmłodszych, więc łatwo jej to przychodziło. Chociaż kochała obu braci jednakowo, wszakże dziwnem przeczuciem wiedziona, pojmowała że Ignaś, trzpiot wesoły, nietyle jej potrzebował, lubiła z nim pofiglować, czasem go połajała, gdy co zbroił,—i tyle; za to czuła dobrze, że tamten drugi niemógł by się obejść bez jej serdecznego współczucia. Zarówno powierzchowność jak i natura jego była odmienną, od stryjecznego brata; choć niewiele starszy, zawsze był wyższym i silniejszym od niego; nad szerokiem czołem wichrzyła mu się bujna, złocista czupryna, od której dziwnie odbijały oczy czarne, pełne ognia i życia,—nie tak wesoły jak Ignacy, serca był daleko gorętszego, ale też więcej okazywał gwałtowności w charakterze. Chorąży chciał tę gwałtowność przełamać surowem postępowaniem i nie wiadomo do czego by to doprowadziło, gdyby nie wpływ chorążyny i Magdzi, które umiały być pośredniczkami między jedną a drugą stroną.

— Cóżeś się tak zamyśliła, moja rybko?— spytała pani Katarzyna.

— Ot, tak sobie,—odrzekła Magdzia wymijająco.—Ale co to się dzieje, że taki ruch na podwórzu,—tatuś kazał zwołać wszystkich ludzi...

— A tak i Marcin karbowy tam stoi,—dodała pani Katarzyna, patrząc w okno.—Aha i Wolko przyjechał,—a jak rozprawia z panem chorążym, aż mu się broda trzęsie...

— Pójdę, zobaczę co to takiego, — rzekła Magdzia, zmierzając ku drzwiom.

W istocie Wolko arendarz przybył do dworu, dając znać, że na trakcie od Przedborza widziano jakiś hufiec zbrojny, zmierzający ku wsi.

Ponieważ wiadomo było, że w pobliżu nigdzie nie stały wojska hetmańskie ani innych, sprzymierzonych z nim panów, domyślać się więc należało, że był to jakiś oddział Zborowskich lub Górki.

Chorąży oddawna zaciekły na owych panów, skoro to usłyszał zawołał natychmiast:

— O, jak Bóg żywy, niech mi się te łotry tu nie nawijają, bo jakem szlachcic, potrafię ich przyjąć jak należy!

— Aj, waj,—stęknał żyd ze strachem.—Wielmożny pan chce ich wypędzić? A jak ich dużo?

— To cóż ztąd, głupi żydzie? Bramy każę pozamykać, ludziom się uzbroić i niech wówczas probują się ze mną! Dwór jest tak obronny, że nie taką napaść wytrzyma!

— A jak oni mają samopały?—rzekł żyd półgłosem.

— A nie pójdziesz ty, żydzie, wreszcie i nie przestaniesz mi trąbić do uszu?—krzyknął chorąży zniecierpliwiony.

— Wielmożny pan się gniewa, — rzekł Wolko,—ale ja wielmożnemu panu szczerze prawdę powiem: na co wielmożnemu panu zadzierać się z tymi rozbójnikami? to bisurmany,—oni ani Boga ani ludzi się nie boją,—niech wielmożny pan plunie z przeproszeniem—i zrobi im co zechcą, bo to bisurmany. A jak oni sobie pójdą, z przeproszeniem do dyabła,—to wielmożny pan dom po nich wykadzi i koniec.

— Co, ja mam przyjmować tych rzezimieszków?—zawołał chorąży.—Nigdy tego nie będzie! Hej, Walek, Józiek, bramy mi zaraz pozamykać i nie wpuszczać nikogo. Marcinie,— zwrócił się do karbowego, — przynieś ze składu cztery garłacze! Niech sprobują siłą wejść tutaj, powitamy ich dobrze.

— Aj, waj! — mruknął żyd na stronie, biorąc się za głowę:—grojse myszyginer!

Magdzia nadeszła właśnie na te przygotowania i zbliżywszy się do ojca zapytała:

— Tatuńciu, czego to Marcin zgromadził tylu na dziedzińcu?

— A co, przyniosłeś Marcinie? — wołał tymczasem chorąży,—a spostrzegłszy po chwili Magdzię zakrzyknął:

— A waćpanna niech idzie do swego pokoju i niekręci mi się tutaj! Tylko mi dziewek brakowało!

Magdzia wiedziała, że w takich chwilach niema co gadać z ojcem,—odeszła więc cicho do swego pokoiku.

Wkrótce brama została założoną żelaznym drągiem a straż przy niej powierzono stajennemu pachołkowi. Walkowi mazurowi.

Nie ruszał się on ani na krok, z powagą spełniając swój obowiązek szyldwacha.

Przed wieczorem do komnaty Magdzi wbiegła dziewczyna Marysia, wołając przytłumionym głosem:

— O la Boga, paniusiu, już są!

— Kto taki?—zapytała Magdzia.

— A ci żołnierze... czy kto tam... stoją już przed bramą...

Rzeczywiście traktem, przechodzącym po pod dwór jechał zbrojny oddział. Widocznie należał on do któregoś z panów; ludzie byli odziani dostatnio i siedzieli na dobrych koniach; w postaci ich zarówno jak i w twarzach ogorzałych i śmiałych było coś, co zdradzało odrazu żołnierza kresowego.

Na czele jechał dowódzca, człowiek młody, odziany dość okazale, w kołpaczku zsuniętym nieco na bok z fantazyą.

W rysach jego męzkich, ściągłych, o szerokiem, jasnem czole, w chwilowym przebłysku ciemnych oczu, teraz spoglądających z wyniosłym spokojem, przebijał się jakiś duch śmiały i niepodległy. Postawy smukłej lecz silnej, o dumnie osadzonej głowie i ogorzałej twarzy— był jak ten koń gorący ale ugłaskany, co całem zachowaniem się świadczy, iż nie z przymusu ale z własnej raczej woli znosi wędzidło, i niedobrze byłoby dla jeźdźca nazbyt cugle przeciągać.

Gdy dojechali do miejsca kędy drogi się rozchodziły, rozkazał ludziom swoim udać się do wsi, sam zaś zawrócił konia w stronę dworu, mając przy boku jednego tylko luzaka, który podjechał pierwszy do bramy, lecz wkrótce wrócił i rzekł ze zdziwioną twarzą a zarazem śmiejąc się:

— Panie poruczniku, nie puszczają nas, brama zamknięta!

— Cóż znowu,—to krzyknij, by otworzono. Czyż niema nikogo przy niej?

— Jest jakiś głupi mazur ale z tym dogadać się nie można,—choć mu w łeb strzelić!

Obaj zbliżyli się do bramy i porucznik zawołał na Walka, stojącego z miną uroczystą.

— Walek otwieraj! Czy mię nie poznajesz?

— Poznaję, proszę jegomości ale nie można.

— Jakto nie można? Walek, czyś zgłupiał?

— Nie, ino pan chorąży nie kazał nikomu otwierać, — odpowiedział Walek flegmatycznie.

— Ależ to przecie do mnie stosować się nie mogło... No, otwieraj prędzej, wiesz. że czekać nie lubię.

— Nie można, — powtórzył Walek spokojnie.

— Piękna rzecz! Po roku niebytności przyjechać do domu i zastać drzwi zamknięte! Walek! powiedz mi, czy ci się czasem we łbie nie przewróciło?

— Nie, proszę jegomości.

— Więc czemuż nie otwierasz?

— Bo nie kazano.

— A nie mówiłem panie poruczniku, że to głupia bestya, choć mu w łeb strzelić!—mruknął luzak.

— Widzę, że prawdę mówiłeś, — odrzekł porucznik.

Po chwili jednak położenie to wydało mu się tak zabawnem, że wybuchnął śmiechem.

— To naprawdę nazbyt śmieszne! — zawołał, podczas gdy luzak śmiał się także, pokazując przez bramę pięść mazurowi.—Chyba nam przyjdzie stać tak do wieczora, bo podwórze widzę puste.

— Gdybym go tylko w ręce dostał, tożbym mu sprawił!—mruknął luzak, znowu konie poczynały się niecierpliwić i grzebać ziemię niespokojnie.

— Walek,—ozwał się porucznik, także już tracąc cierpliwość,— wiedz o tem, że nie znoszę żartów, które zadługo trwają, a więc otwórz, dokąd naprawdę gniewać się nie zacznę.

Szczęściem w tej chwili na dziedzińcu ukazał się Marcin, a usłyszawszy rozmowę, zbliżył się ku bramie.

— Marcinie, powiedz temu głupcowi, by otworzył! — zawołał gniewnie porucznik — Pięknie przyjmujecie gości!

— A, to wy, panie Janie... panie poruczniku, chciałem powiedzieć,—zawołał karbowy,—a ten głupi Walek nie chciał wam otworzyć? Zawsze ja mam kłopot z tym ciemięgą! Otwierajże bramę,—a prędzej gawronie! Czy nie widzisz, że to pan porucznik przyjechał?

— Toć widzę dobrze,—odrzekł mazur, powoli otwierając, — ale jak mi kazano nikogo nie wpuszczać, to zkądże mogłem wiedzieć, komu otwierać a komu nie?

Luzak przechodząc koło niego, pogroził mu pięścią, mówiąc półgłosem:

— Żeby nie pan porucznik jużbym cię nauczył, hultaju! a wiedziałbyś komu otwierać!

(Dalszy ciąg nastąpi)

TEATR.

Szaławiła. Krotochwila w 5-ciu aktach, Kazimierza Glińskiego.

Działo się dnia 13-go Stycznia r. b. na scenie teatru Rozmaitości.

Trzej zaciekli winciarze pracują przy zielonym warsztacie (pp. Grzywiński, Narkiewicz i Owerło). Ponieważ do winta zasiada zazwyczaj mężów czterech, rodzi się pytanie, gdzie się podział czwarty. Ten czwarty to gospodarz domu pan Józef (p. Prażmowski), którego do przyległego salonu, gdzie się bawi swawolniejsza część jego gości, ciągnie siła wyższa to jest Adelina alias nadobna śpiewaczka (p. Czaki). „Co mi po kartach wobec jej ócz“ myśli pan Józef i czyni flirt z divą, acz los dał mu za towarzyszkę dozgonną Klarę bardzo ładną i kochającą męża osóbkę (p. Fedorowiczową).

Gracze się niecierpliwią. Taka gra to wcale nie gra! Czas to pieniądz i... cichaczem wymykają się do klubu.

Mniejsza o nich! do gościnnego salonu p. Józefostwa przybywa gość, który starczy sam jeden za tych trzech śledzienników. Gościem tym jest Gustaw (p. Wolski), przyjaciel Józefa, szlagon, najpoczciwsze serce na świecie lecz zarazem największy na globie ziemskim pędziwiatr i szaławiła. Dzisiaj przyjechał do Warszawy z *wełną* i w ciągu kilku godzin zdołał już upoić się warszawskim powietrzem oraz odświeżyć znajomość z panną Adeliną, śpiewaczką, znaną mu jeszcze z czasów studenckich. Wtargnął do niej za kulisy, i wyszedł z przedsmakiem jakichś słodkich obietnic.

Oprócz wełny pan Gustaw przywiózł do Warszawy i poczciwą żonę swoją Zosię (p. Trapszo), lecz dbały o jej zdrowie pozostawił ją w hotelu, aby odpoczęła po podróży. Sam zaś, idąc ulicą, zobaczył światło w mieszkaniu Józefa, no i wpadł do przyjaciela.

Zastaje tu Adelinę, zaproszoną widocznie na produkcye wokalne w salonie państwa Józefostwa. Szaławiła nie lubi długiego oblężenia, przypuszcza szturm odrazu, podniecony bogactwem kształtów, jakie roztacza przed nim diva teatralna (p. Czaki). Spokojny jest, gdyż Zosieńka zasnęła już pewnie w numerze hotelowym, marząc o ukochanym mężu.

Casus fatalis! Na wieczorze obecny jest Jan Nepomucen Galopiński (p. Frenkiel), czcigodny staruszek o siwych włosach i białych wąsach, a rodzony wujaszek Zosi. Poczciwina, podsłuchawszy zaloty i świadek koperczaków pana Gustawa walczyć będzie o szczęście siostrzenicy swojej. I odtąd Gustaw będzie miał prześladujący go cień, a cieniem tym jest wujaszek Galopiński.

Bawi właśnie Jan Nepomucen u szaławiły, gdy lokaj Adeliny przynosi bilet divy, zapytujący czy pani wejść może. Czeka właśnie na dole. Co tu długo myślić? Wujaszka zamknąć w przyległym pokoju, pozatykać dziurki od klucza, na to dużo czasu Gustawowi nie potrzeba.

Śpiewaczka wchodzi. Pani ta lubi stawiać kwestye na trwałym gruncie rzeczowym. Piękne ma włosy, niewątpliwie, lecz o ileż byłyby piękniejsze, gdyby ubrano je w brylantowy dyadem o cudownych ogniach, jaki widziała na wystawie. Nie kosztuje nawet tak bardzo wiele— zaledwie tysiąc rubli. Gustaw ostrzygł barany, dlaczegóż by jego samego nie miano trochę podstrzydz. Dyadem będzie.

„Mieszkam na Wspólnej...—dyktuje Adelina, Gustaw zapisuje adres.“

„Jakto w tym samym domu, co i wuj Galopiński?“

„Tak, mieszkamy naprzeciwko, drzwi w drzwi, ja pod numerem piątym, a on pod czwartym,“ Gustaw notuje, a w krewkości swojej pozostawiła bilet na stole.

Gdy wypuszczony na wolność przez służącą Kasię (p. Gilska) pan „Japucen“ wchodzi na scenę, stare lecz dobre jeszcze oczy staruszka, spostrzegają bilet. Więc pan Gustaw zamierza już iść na rendez-vous? Następuje walna narada familijna u wujaszka z zaprzysięgającą zemstę Zofią. Wszak sam zbrodniarz wpada w sidła, gdyż miasto do tej tam pani przyjdzie do mieszkania Galopińskiego.

Skromny gabinet wujaszka à la hate przybiera nieco zmieniony wygląd. Na ścianach zawieszono kilka wieńców, po rogach ustawiono figurki, wszystko ma na celu nadanie mieszkaniu pozorów apartamentu artystki. A gdy zjawi się pan Gustaw, wyjdzie doń zawoalowana własna jego żona. którą znieważyć tak srodze zamyślił, uda Adelinę a potem rozprawi się z niewiernym na cztery oczy, sam na sam. A zemsta straszną będzie.

Wchodzi Gustaw punktualny jak wierzyciel. W istocie jest już wierzycielem, gdyż brylantowe cacko czeka na Adelinę. Wprawdzie dziwi go to mocno, że Bellini był niezmiernie podobny do wujaszka Galopińskiego, a Meyerbeer służył w hułanach, że Adelina czyta traktaty o „nosaciznie u koni“ oraz o „konserwowaniu mierzwy,“ lecz tłomaczy to ekscentrycznością prawdziwej artystki. Czeka...

Szeleszcząc jedwabiem płynie doń zawoalowana dama.

„O zdejm ten woal,“ błaga on.

„Nie, nie“ z afektacyą odpowiada ona „nie dzisiaj, nie dzisiaj!“

„Jakto?“

„Dzisiaj rocznica zgonu wielkiego Meyerbeera, mojego mistrza. Jam dzisiaj w żałobie. Widzisz ten pąsowy kwef, jaki zasłania lice moje.“

Daremnie Gustaw naciera, Meyerbeera pokonać nie może. Dyadem brylantowy przeszedł już w ręce pani, a woal jak pozostawał na twarzy, tak pozostaje. Nie pomagają czułe słówka i zaklęcia, dama jest niewzruszona. Na finisch'u osóbka zapala łokciową fajkę, dając towarzyszowi do zrozumienia, że ma jeszcze inne nałogi np. zażywanie tabaki. Gustaw stygnie, wyrzekłby się już chętnie podboju domniemanej Adeliny, żal mu tylko straconych pieniędzy. A gdy pani ta pod pierwszym lepszym pozorem ucieka od niego, nie pozostaje niefortunnemu Adonisowi nic innego, jak stłuc mistrza Meyerbeera i udać się do wujaszka o radę.

Zastaje tam, ma się rozumieć, prawdziwą Adelinę, jako gospodynię własnego swojego mieszkania. Tym razem zwodzicielka jest bez tajemniczej osłony. Gustaw teraz rzecz zrozumiał. Adelina jest przyjaciółką wujaszka. Ten na pozór szanowny, zacny, czcigodny starzec jest poprostu—sybarytą, rozpustnikiem, człowiekiem zepsutym do szpiku kości! Zuzanna i starzec! Adelina uciekła od niego, aby przyjść tutaj! Tak. Wpada w wściekłość, uderza w Adelinę całą bateryę pocisków, wreszcie żąda, bez ogródki, aby mu zwróciła pieniądze.

Adelina nic nie rozumiejąca, dziwi się, oburza, wreszcie ucieka przed waryatem.

Nie koniec na tem. Płochość pana Gustawa wymaga jeszcze kary. Wymierza mu ją Zofia, nasuwając mężowi myśl, że i ona zamierza się w Warszawie na swoją rękę zabawić. Gustaw szuka rywala, zazdrości, pragnie mścić swoją hańbę, wreszcie znajduje domniemanego złodzieja honoru w szafie. A jest nim wujaszek Jan Nepomucen.

Ma się rozumieć, że wszystko się wyjaśnia i kończy jak należy. Szaławiła Gustaw jest ukarany, gdyż był bardzo blizkim oślich uszów króla Midasa, Zofia otrzymała kompensatę w postaci kosztownego dyademu którego mężowi nie zwróci, jeżeli posiada chociaż szczyptę rozsądku, Klara odszukała wreszcie swojego Józia, który się wiecznie gdzieś „zapodziewa.“ Najgorzej wyszedł na tej całej historyi wujaszek Jan Nepomucen, bo staruszkowi stłuczono figurkę hułana.

Krotochwila o powyżej opisanej treści wyszła z pod pióra Kazimierza Glińskiego. Jakto? Poeta dużej miary, autor dramatów Almanzora i Anny Cylejskiej, pozazdrościł laurów Labisch'om, Kadlerburgom i Schönthanom, biorąc się do rodzaju sztuki scenicznej, biegunowo przeciwnego dotychczasowej twórczości.

Kto zna powieści Glińskiego, nie zdziwi się temu bynajmniej. W temperamencie poety leży dużo humoru, tego humoru co na zawołanie nie przychodzi, ale przypłynąwszy samorzutnie, zdolny jest rozlać się szeroko. Zewnętrzna pobudka zbiegła się wypadkowo z odpowiednim wewnętrznym nastrojem, humor bryznął falą, dramaturg przedzierzgnął się w krotochwilistę, obok Almanzora mógł powstać Szaławiła.

Zdaje mi się, że autor napisał Szaławiłę w przeciągu bardzo krótkiego czasu, że tak powiem, jednem pociągnięciem pióra. Znać to po jednolitości i żywości akcyi, która toczy się gładko, zrozumiale, bez hamowań, zabójczych dla krotochwili. Znać to również i po rozpędzie humoru, który, ufając sobie, nie cofnął się przed najryzykowniejszemi co do prawdopodobieństwa sytuacyami, chociaż z łatwością mógł znaleźć sobie tory logiczniejsze.

To grzech, lecz nieprawdopodobieństwo w krotochwili jest grzechem powszednim. Czy nieprawdopodobieństwo jest tylko w założeniu, czy w biegu akcyi, czy nieprawdopodobnych sytuacyi jest tylko jedna czy też dwadzieścia, to już wszystko jedno, rzecz taka rozbiorowi artystycznemu podlegać nie może. Wartość krotochwili równa się matematycznie ilości śmiechu, jaką daje współczesnym. I przypuszczam, że żaden autor farsy nie ma nawet do tego pretensyi, aby utwór jego przeszedł do nieśmiertelności.

Co daje Szaławiła?

Daje humoru dużo, tyle, że wystarcza go dla widzów na pięć długich aktów. Humor to bezpretensyonalny, szczery, nasz rodzimy. Autor nie posługiwał się doń przyprawą z francuzkiego pieprzu lub niemieckiej lukrecyi, bo mu tego nie było potrzeba. Dał śmiech pusty ale zdrowy, a o nic więcej zapewne mu nie chodziło. Jeżeli dodamy, że rzecz pisana jest czystym językiem polskim, jaki się obecnie rzadko spotyka, zwolnieni będziemy od porównania Szaławiły z olbrzymią większością utworów w tym rodzaju importowanych z Zachodu, które po opatentowaniu na miejscu urodzenia, z udanym czy wrodzonym daltonizmem puszczane są przez celników naszych na tutejszy rynek sztuki już... bez banderoli.

Krotochwilę grano doskonale. Tytułowa rola Szaławiły Gustawa dostała się p. Wolskiemu to jest w ręce najodpowiedniejsze. Wiadomo, że typy tego rodzaju stanowią specyalność artysty, więc i tym razem podniesiemy wyborne wykonanie całości roli, acz niezmiernie dużej i muzolnej, bo liczącej pewnie kilkanaście arkuszy tekstu. P. Trapszo grała z wielką szczerością i prawdą zaznaczymy tu scenę aktu trzeciego, gdy odgrywa z mężem komedyę. Doskonałą Adeliną była p. Czaki, zwłaszcza w akcie drugim, gdy zdradza zamiłowanie do brylantów oraz w czwartym. P. Fedorowiczowa z wytrwałością i wdziękiem szukała przez całe cztery akty owego niepoczciwego Józia, który chyba oczy stracił, uciekając z domu. P. Prażmowski elegancko odtworzył małą rolkę Józia.

Wujaszkiem Janem Nepomucenem czyli jak ochrzciła go Kasia „japucenem,“ był p. Frenkiel. Nie wiem co podziwiać, czy przewyborną charakteryzacyę, czy też grę tego artysty. Stoi mi ciągle przed oczyma ten naprawdę stary staruszek, z białemi wąsami i bielszemi jeszcze włosami i łagodnym wyrazem twarzy. Co do gry, p. Frenkiel grał komedyowo, jednocześnie dostrajając się w zupełności do tonu farsy.

Inne pomniejsze role znalazły dobre wykonawczynie i wykonawców w paniach: Bogusławskiej, Gilskiej i Szymanowskiej oraz w pp.: Grzywińskim, Narkiewiczu i Owerle.

Całość przedstawienia była bardzo dobra, tempo gry właściwe, scenizacya umiejętna, wystawa staranna.

Ignacy Grabowski.

RUCH MUZYCZNY.

Czterdziesta rocznica „Halki“ Stanisława Moniuszki—szczęśliwym i dobrą wróżbę budzącym trafem—zbiegła się w Warszawie z wystawieniem najnowszej opery Władysława Żeleńskiego. p. t. „Goplana.“

W d. 1 stycznia upłynęło lat czterdzieści od chwili, gdy po raz pierwszy „Halkę“ usłyszano w naszem mieście: odtąd wielkie to, prawdziwie natchnione dzieło, entuzyazmowało tłumy i po dziś dzień nic ze swej pierwotnej barwy i świeżości nie utraciło. Po latach czterdziestu, publiczność polska podziwiała poezyę tej prostej, a pięknej muzyki, manifestując swój zapał niemilknącemi oklaskami.

Na pierwsze przedstawienie „Halki“ Stanisław Moniuszko przybył z Wilna, aby uczestniczyć w tym dniu uroczystym zarówno dla siebie, jak dla sceny i słuchaczów. Operę w Warszawie wystawił Jan Quatrini, wyreżyserował Leopold Matuszyński. Halkę śpiewała Rivoli, o której sława przeszła do nas pełna blasku; nieporównanym, ciągle wspominanym Jontkiem był Dobrski; Stolnika śpiewał Troszel, Janusza-Ziółkowski, Zosię-Quatriniowa, Dziembę-Stysiński, Chłopaka-Mystkowski i Dudziarza-Lucas.

Współczesne sprawozdania bez wyjątku zaznaczają olbrzymi sukces, przez dzieło to wywołany.

Sława „Halki“ i jej wykonawców rozeszła się szeroko. Dwoje takich znawców, jak Artôt i Tamberlick tak się o wokalnych zaletach partyj Halki i Jontka wyrażają. Artôt twierdziła, iż partya Halki dla niewytrawnych śpiewaczek jest bardzo trudną, a nawet niebezpieczną, dla pewnych siebie—wyborną. Tamberlick był partyą Jontka zachwycony.

Mijały lata, zmieniali się słuchacze, nowe publiczności przychodzić do teatru zaczęły pokolenia—a zapał dla „Halki“ nic nie ostygł.

Można się było dowodnie o tem przekonać w d. 1 b. m. w teatrze Wielkim. Sala przepełniona od góry do dołu wyglądała efektownie i poważnie, nastrój słuchaczów uroczysty, przyjęcie dzieła najgorętsze!

Wykonawcy wywarli jak najkorzystniejsze wrażenia—i kto wie, czy nie najlepiej, w dwóch zwłaszcza głównych partyach, odpowiadali prototypom, przekazanym przez Rivoli i Dobrskiego.

P. Aleksander Myszuga jest Jontkiem idealnym; znakomity artysta śpiewa z niepospolitą maestryą, czarując swym głosem i poetycznem traktowaniem całej postaci.

P. Strassernówna jest jedną z najlepszych wykonawczyń partyi „Halki.“ Artystka, oprócz doskonałych warunków scenicznych, ma świetny talent dramatyczny i jest niepospolitą aktorką. Wokalne przymioty p. Strassernówny stoją na tej samej wysokości; w śpiewie artystki widzimy siłę dramatyczną, ekspresyę i przedziwne akcenty. Publiczność przyjmuje też zawsze znakomitą tę „Halkę“ z wyróżnieniem szczególnem, na co w zupełności zasługuje.

Reszta interpretatorów w jubileuszowem przedstawieniu naszego arcydzieła operowego wywiązała się godnie z ważnego zadania. Operą dyrygował Stanisław Barcewicz, jednając sobie powszechne za swoją batutę uznanie.

Jubileusz „Halki“ sąsiadował blisko z pierwszem przedstawieniem nowej—opery Władysława Żeleńskiego p. t. „Goplana.“

I oto traf zdarzył, iż w chwili, kiedy sztuka polska święciła rocznicę czterdziestą istnienia największego dzieła scenicznego u nas,—zjawił się nowy, współczesny, świeżemi środkami artystycznemi zbrojny mistrz, który nam ukazał nieśmiertelne postacie Słowackiego w innem oświetleniu, przy dźwiękach czarownej muzyki.

Władysław Żeleński, którego sylwetkę podaliśmy w poprzednim ruchu muzycznym, stworzył wspaniałą operę. p. t. „Goplana,“ wystawioną na scenie Teatru Wielkiego po raz pierwszy d. 8 b. m. wobec przepełnionej widowni. Entuzyazm słuchaczów był olbrzymi; znakomitego zaś twórcę przyjęto z owacyami niepamiętnemi. „Goplana“ była prawdziwą *nouvelle du jour*, mistrza rozchwytywano przez cały tydzień, gdyż każdy pragnął za dzieło takie mu podziękować...

W skarbcu poezyi szukał twórca muzyczny tematu do swego dzieła. I znalazł ową „Balladynę,“ o której Słowacki mówi, że ją pisał ironicznie „z aryostycznym uśmiechem na twarzy. W liście do Krasińskiego, Słowacki pisze: I spraw dzą się może sny mojego dzieciństwa, bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy—a za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku.“ Myślał o Balladynie, pisząc o tem—a choć się sny dzieciństwa poety nie sprawdziły—utwór pozostał przepięknym i świetnym. Zygmunt Krasiński mówi o „Balladynie,“ że ją Szekspir spłodził w głowie Słowackiego; mniejsza—ale córa tego małżeństwa nosi na sobie piętno arystokratycznego pochodzenia i blaskiem swego czaru porywa wszystkich.

I choć „Balladyna“ dramatem nie jest, ma tyle poezyi i wdzięku, że nam wszystko jedno, czy utwór jest oryginałem lub kopią—dość, że jest obrazem prześlicznym.

Jeżeli samo dzieło upaja wonią kwiatów, to muzyka dzieło to odtwarzająca w dźwiękach musi przemawiać do nas językiem przedziwnym. Toż to do nas przemawiają głosy natury uosobionej w ludzkich kształtach...

Posłuchajmy tylko uważnie, co nam śpiewają wszyscy po kolei,—a będziemy mieć jedną z najprzyjemniejszych chwil artystycznych.

Z poematu Słowackiego, Władysław Żeleński, bardzo trafnym rządząc się zmysłem artystycznym zwrócił uwagę na najidealniejsze ustępy „Balladyny“ i nawet całe dzieło nazwał „Goplaną.“ Te fantastyczne postacie: Goplany, Chochlika, Skierki—odpowiadają nastrojowi muzycznemu tryskają najczarowniejszemi blaskami artyzmu.

Akt pierwszy opery przedstawia okolice nad Gopłem. Chochlik i Skierka zapowiadają przybycie królowej jeziora. Na liściu lilii wodnej przybywa Goplana.

Z pod słomianej strzechy wychodzą trzy kobiety: wdowa, Alina i Balladyna. Charaktery trzech tych niewiast po mistrzowsku przez poetę pomyślane, znalazły genialnego również interpretatora w osobie kompozytora muzycznego. Pierwsze już zaraz dźwięki dają nam poznać we wdowie matkę kochającą, cierpiącą i szalejącą żywym wyrazem uczucia. Każdy dźwięk, każda nuta, wypowiedziana przez Alinę przedstawiają nam ją jako uosobienie anielskości, bezgranicznej dobroci i niebiańskiej słodyczy. Postać Balladyny odbija też przy niej, jak wcielenie demonizmu. Każda myśl jej zarysowana jest dźwiękiem ostrym, szorstkim, przemawia ona ostro, stanowczo, w głosie jej, melodyi czuć, że gotowa ona narazić się na najstraszniejsze choćby męczarnie, byleby dopiąć swego.

Ze sposobu traktowania trzech tych postaci widać, że kompozytorowi zależało najwięcej, ażeby wyszły one w jego interpretacyi plastycznie i żeby odpowiadały intencyom poety. I przyznać trzeba, że celu swego dopiął po mistrzowsku; melodya słów walczy tu o lepsze z melodyą dźwięków.

Kwintet śpiewany przez trzy te kobiety, Chochlika i Skierkę jest jednym z najpiękniej pomyślanych ustępów opery i uważany być może słusznie za arcydzieło muzyki zbiorowej. Brzmi on potężnie na tle chóru i orkiestry, podtrzymującej nastrój barwnością instrumentacyi, melodya jego płynie spokojnie i wbija się żywo w pamięć słuchacza.

Chochlik, figlarny poseł Goplany, podszeptuje wdowie, by wysłała córki swe do lasu po maliny; wszyscy wchodzą do chaty, pozostaje sama Alina dając wyraz przepełniającemu sercu jej uczuciu w pieśni marzącej, pełnej wdzięku i spokoju zakończonej nastrojem religijnym. W pieśni tej przebija się natura prosta, naiwna i szczera.

W akcie drugim mamy piękny duet Chochlika i Skierki, pieśń Goplany, aryę Kirkora, chór duchów i prześliczny kwartet Goplany, Skierki. Chochlika i Grabca. Kwartet ten jest najpiękniejszym ustępem tego aktu i zadziwia artystycznie pomyślanemi szczegółami kontrapunktycznemi przy użyciu imponujących swą plastycznością efektów instrumentacyi.

Na scenę wchodzi Alina z dzbanem pełnym malin. Serduszko jej zawsze swobodne i wesołe, teraz bije jeszcze żywiej na myśl o szczęściu, jakie ją ma spotkać. Wesołości tej daje wyraz w piosnce krótkiej, ale tak pełnej wdzięku, że słuchaćby się jej chciało bez końca. Do podniesienia uroku przyczynia się tu znacznie bardzo prosta harmonizacya i spokojnie płynący rytm. To mazurek, rozszerzony na piosnkę w wolnem tempie.

Następują duet Aliny z Balladyną, malujący plastycznie zetknięcie się dwóch temperamentów, łagodnego z burzliwym, słodyczy i szczerości z zawiścią i obłudą. Akt ten kończy się śmiercią Aliny.

W akcie trzecim przedstawił genialny kompozytor z całym zasobem swej pomysłowości fatalizm zbrodni, grozę tragedyi. W szczupłych ramach czterech scen zdołał nagromadzić tyle rysów, rozwinąć taką potęgę, że akt ten pozostawia bardzo silne na słuchaczu wrażenie.

W izbie na zamku u Kirkora Balladyna marzy o miłości, a marzy tak, jak ona potrafi: w frazesach suchych, niespokojnych, chwilami nawet przechodzących w krzyk. Za chwilę wchodzi Kostryn. Podstępna Balladyna zmusza go do wyznania miłości, poczem oboje wybuchają w duecie, imponującym potęgą namiętnego uczucia. Duet ten, to jedyny ustęp w całej operze, noszący na sobie wyraźne cechy zmysłowości.

W akcie tym mamy również muzykę baletową bardzo zręcznie instrumentowaną, ale nieodpowiadającą zgoła charakterowi epoki. Walczyk, kozaczek i tarantela to istne cacka kunsztu muzycznego.

Arcydzieło Żeleńskiego doznało w Warszawie powodzenia, jakiego się słusznie spodziewać należało. Ale bo też wszyscy, począwszy od solistów, a kończąc na najskromniejszym szeregowcu z chórów dokładali wszelkich starań, ażeby wykonanie ich godnie odpowiadało genialnej kompozycyi. Dyrekcya teatrów i reżyserya opery z swojej strony nie zaniedbały niczego, co się tylko przyczynić mogło do podniesienia wrażenia, wywołanego potężną kompozycyą. Śliczne dekoracye, wykonane artystycznie przez p. Guranowskiego, kostyumy nowe, zastosowane do danej epoki, zręczne wyzyskanie bogatych efektów scenicznych, wszystko to przy bardzo ładnem wykonaniu muzycznem, złożyło się na artystyczną całość, której wspomnienie słuchacze na długo w pamięci swej przechowają.

Główne partye spoczywały w ręku pań Strassernówny i Korolewiczówny i pana Myszugi. Artyści ci śpiewali partye te już we Lwowie, gdzie Goplana po raz pierwszy przedstawioną została, i już wówczas doznali jak największego uznania ze strony krytyki i publiczności. Wykonanie obecne przekonało nas, że pochwały te nie były przesadzone.

Specyalne słowa uznania należą się orkiestrze, która pod batutą p. Trombini'ego wywiązała się bardzo poprawnie z trudnego zadania.

Publiczność, przepełniająca widownię teatru Wielkiego w całem tego słowa znaczenia „po brzegi,“ witała kompozytora i genialne dzieło jego owacyjnie.

Owacye te szczere i serdeczne były wymownym dowodem wdzięczności dla kompozytora, który ostatniem dziełem swojem wysoko podniósł sztandar sztuki polskiej.

W operze zanotować również wypada debiuty nowo zaangażowanych artystów włoskich, a mianowicie pań Huguet i Litwinow i panów Russitano i Camera.

Panna Huguet wykonaniem partyi królowej w „Hugonotach“ złożyła dowód wielkiej poprawności technicznej, a przedewszystkiem,—z czem

się rzadko spotkać można u artystów współczesnych, — dowód wielkiego poszanowania dla dzieła.

Pani Litwinow i pan Russitano wystąpili jako para kochanków w Fauście.

Oboje artyści znani są jako posiadający bogatyi technicznie wyrobiony materyał głosowy, a wykonanie partyi kochanków nie było pozbawione pewnych rzeczywiście udatnych szczegółów artystycznych. Nie można natomiast powiedzieć tego o p. Camera, który suchem, bezdźwięcznem wykonaniem partyi Walentego złożył słaby bardzo dowód swych zdolności wokalnych.

W pierwszym tegorocznym koncercie Towarzystwa muzycznego przyjął udział z artystów zagranicznych Emil Sauret, używający dziś sławy jednego z pierwszorzędnych wirtuozów-skrzypków. Sauret dał się nam poznać w podwójnym charakterze, wykonawcy i kompozytora. Warszawa miała sposobność przed kilku laty już słyszeć produkcye niepospolitego artysty. Wówczas zaimponował on doskonałością techniki, idealną czystością intonacyi i dziwnie miękkim tonem; dziś przymioty te spotęgowały się, czyniąc z Sauret'a jednego z wybitniej miary artystów współczesnych, obdarzonego wielkim zasobem uczucia i intelligencyi muzycznej. Zalety te uwydatniły się najlepiej w stylowem i pełnem poezyi wykonaniu koncertu h-moll op. 61 Saint-Saënsa. Artysta wykonał nadto symfonię h-moll Schuberta, „Elegię" i „Rondo" własnej kompozycyi; jako pole popisu dla wykazania techniki obrał artysta niezmiernie trudne „Melodye węgierskie" Ernsta.

Mniej korzystnie przedstawił się Sauret jako kompozytor. Utwory, któreśmy mieli sposobność usłyszeć, nie są wprawdzie pozbawione melodyjności i pewnych przebłysków oryginalnego talentu, uderza w nich jednak zbytnia pretensyonalność i gonienie za efektami.

W koncercie tym przyjęła udział orkiestra, która wykonała z ogniem uwerturę z „Paryi" Moniuszki.

Główną siłą atrakcyjną drugiego koncertu była panna Niessen, znana dziś śpiewaczka estradowa. Nie brak wprawdzie materyałowi głosowemu panny Niessen pewnych drobnych usterek, mimo to jednak i natura samego głosu, techniczne jego wyrobienie, i poprawna emisya stawiają ją w szeregu śpiewaczek pierwszorzędnych. Artystka posiada przytem tak wysokie poczucie muzykalne, tak artystycznie umie interpretować intencye kompozytora, że produkcye jej nabierają jakichś cech odrębnych, rzadko kiedy spotykanych u śpiewaczek estradowych.

Koncertantka odśpiewała „Fijołek" Mozarta. nadto „Noc wiosenną" Schumana, a nadto kilka utworów Tosti'ego

Drugą solistką wieczoru była pani Narbutt — Hryszkiewiczowa, pianistka, uczennica konserwatoryum petersburskiego. Gra artystki odznacza się wielkiem poczuciem rytmiki, a technika wykazuje poważne studya. Wykonanie koncertu a-moll Griega było bardzo poprawne; preludyum i fugę Mendelsohna wykonała pani Narbutt-Hryszkiewiczowa nietylko stylowo, lecz i z wielkim zasobem techniki. Mniej szczęśliwie wypadło natomiast wykonanie Etiudy cis-moll i walca Chopina. W interpretacyi artystki zatarła się zupełnie poezya i uczucie, jakiem tchną te utwory.

Orkiestra wykonała pod batutą p. Noskowskiego uwerturę z opery „Oberon" Webera, a nadto towarzyszyła pani Narbutt-Hryszkiewiczowej do koncertu Grieg'a.

Dawno zapowiadany koncert panny Loli Beeth, słynnej śpiewaczki opery cesarskiej w Wiedniu, nie zupełnie zdołał zadowolić słuchaczy, którzy wielkie pokładali nadzieje do tego pierwszego u nas występu artystki. Zbyt silna niedyspozycya artystki w ostatniej chwili, a nadto nie bardzo fortunny wybór repertuaru sprawiły, że panna Beeth nie mogła przedstawić się w należytem świetle i wykazać wszystkich zalet pięknego swego głosu. Artystka wykonała aryę z „Królowy Saby" Goldmarka, „Pastorale" Bizeta i „Słowiczka" Żeleńskiego.

W koncercie przyjęła również udział świetna pianistka pani Wąsowska-Badowska.

Adam Dobrowolski.

Kronika działalności kobiecej.

— Czytelnia dla kobiet w Krakowie zaczyna się bardzo energicznie i pożytecznie rozwijać. Od jesieni trwają tam lekcye stenografii w grudniu zaś rozpoczęty został kurs rachunkowości. Codziennie, między godzinami 4—7 dowiadywać się można o nauczycielki chcące przygotowywać do seminaryum i gimnazyum żeńskiego oraz o lekcye muzyki i języków. Wieczorem o g. 6 odbywa się kurs nauki zbiorowej języka francuskiego. Biblioteka czytelni liczy 2,000 dzieł w trzech językach. Staraniem Czytelni odbył się w Krakowie odczyt p. L. Szczepańskiego o K. Ujejskim na cel powiększenia funduszu przyszłej szkoły rzemiosł dla kobiet. Na korzyść tejże szkoły przeznaczony jest również dochód z wykładów psychologii p. D-r Anny Wyczółkowskiej odbywających się w Czytelni.

— Stowarzyszenie nauczycielek w Krakowie posiada w nowym lokalu, przy ul. Krupniczej Nr. 16 odpowiednio urządzony pokój dla nauczycielek bawiących chwilowo w mieście, czy to w celu uzyskania posady przez biuro Stowarzyszenia, czy też potrzebujących wypoczynku po pracy lub przygotowania się do egzaminów nauczycielskich. Od pierwszej chwili, mieszkanie to jest ciągle zajętem, co wymownie świadczy, jak potrzebnem było takie udogodnienie. Doborowa biblioteka zaopatrzona w dzieła naukowe ułatwia pracę osobom potrzebującym podręczników.

— Pani Vincent w Paryżu przemówiła w gorącym artykulu w piśmie „Fronde" za liczniejszem dopuszczeniem kobiet do komisyi organizacyjnej przyszłej wystawy w r. 1900. w celu dokładniejszego, wszechstronniejszego przedstawienia na tejże wystawie dorobku pracy niewieściej na rozmaitych polach przemysłu, nauki, sztuki i rzemiosła.

— W Londynie, w 9 okręgach naukowych zamianowane zostaną kobiety inspektorkami szkolnemi. Wiadomo że już od lat dziesięciu pracują w Anglii kobiety jako radczynie szkolne.

— Państwowa biblioteka w Kansas w Ameryce, oddaną została w główny zarząd pani Annie L. Diggs, tudzież będzie ona stać na czele państwowego archiwum jako naczelna bibliotekarka

— W dniach 17, 18 i 19 Lutego odbędzie się kongres prasowy w Waszyngtonie zwołany przez narodowe kobiece stowarzyszenie prasowe. Pani Graham French, sekretarka komitetu zapraszającego zachęca panie, które wzięły udział w kongresie kobiet w Berlinie do jaknajliczniejszego wzięcia udziału w tymże kongresie.

— Zawiązana niedawno spółka księgarska w Warszawie przez panie Lisowską i Rzążewską dobrze się rozwija, a o jej działalności wspomnimy obszerniej w następnej kronice naszej.

List otwarty.

Rok dobiega od chwili otworzenia w Warszawie wystawy obrazu „Golgota" i fakta już dziś mówią, że nie zawiedliśmy się, licząc na poparcie nowożytnego mecenasa sztuki—szerokiej publiczności. Pokazało się, że rzeczywiście, podług rusińskiego przysłowia *gromada-wielki człowiek* i że, mając z nim do czynienia, można sobie pozwolić na takie nauki, o jakie byłoby trudno dawnym mecenasom.

Ale do tego zbiorowego protektora sztuki dostęp niełatwy. Otwiera go prasa.

Od pierwszej chwili udzieliła nam ona hojnie swej pomocy i od pierwszej chwili wiedzieliśmy, czemu przypisać jej życzliwość. W dziele dopatrzyła myśli obywatelskiej dostarczenia podniosłych wrażeń tym, którzy nie mogą szukać ich za górami i morzami. Wspólnie też z nami cieszyła się stale, gdy przez wystawę przechodziły siermięgi i szare kapoty.

Prasa to wielka siła i, jak każda siła, bywa używana i nadużywana. W innych krajach musielibyśmy ją sobie jednać, trafiając do interesu osobistego jej przedstawicieli. U nas, mowy o tem nie było i być nie mogło. U nas wystarczał interes ogólny, maluczki wprawdzie, ale myśmy się nauczyli prawdy o ziarnkach, z których zbiera się miarka.

To nie daje nam jednak prawa zapominać o obowiązku i prosimy naszą prasę o pozwolenie nie wyrównania naszego z nią rachunku, bo to niemożebne, lecz o danie nam możności zaznaczenia, że o obowiązku tym pamiętamy.

Prosimy o przyjęcie całkowitego jednodniowego dochodu z wystawy na rzecz nowozatwierdzonej „Kassy dla dziennikarzy i literatów."

Chcielibyśmy żeby dzień ten otwierał drugi rok naszej egzystencyi, który przypada 24-go Stycznia r. b.

Ci, którzy zechcą. zwiedzając w tym dniu wystawę, pomódz nam w spełnieniu naszego obowiązku, znajdą już nie jeden obraz, lecz trzy. Zobaczą naprzód „Chrystusa w Ogrojcu" Stanisławskiego i Mehoffera, przejdą potem przez znaną już im zapewne „Golgotę" Styki, Rozwadowskiego, Popiela i Stanisławskiego, i, wychodząc, zatrzymają się przy „Chrystusie w Emmaus" Mehoffera.

Właściciele wystawy obrazu „Golgota."

Cena wstępu pozostaje bez zmiany: 45 kop. dla dorosłych i 25 kop. dla dzieci i uczącej się młodzieży.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się: arkusz 7 powieści, p. t. ***Masarenowie***, przez Ouidę. Przekład Z. S.

Treść: **Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami oraz ich dziećmi w Warszawie**, przez Szczęsną. — **Pogawędka**, przez ?? — **Ze wspomnień wędrowca**, przez Antoniego Pileckiego.—**Bezkrólewie**, powieść historyczna w 2-ch częściach, przez Maryę Łopuszańską (dalszy ciąg). — **Teatr**, przez Ignacego Grabowskiego. — **Ruch muzyczny**, przez A. Dobrowolskiego. — **Kronika działalności kobiecej**. — **List otwarty**.

Dodatek obejmuje: ***Masarenowie***, powieść, przez Ouidę, arkusz 7. Przekład Z. S.—Przegląd mód. 13 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście Nr. 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 7 Января 1898 г.